

Pani europoseł rzuca ślimakami. Portret Danuty Jazłowieckiej

Ewa Bilicka, Nowa Trybuna Opolska, 11-12 września 2010, nr 214 (5301)
(<http://www.nto.pl/apps/pbcs.dll/article?AID=/20100912/REPORTAZ/274199772>)

Danuta Jazłowiecka niedawno w Szanghaju dostała ataku serca. Przeleżała w tamtejszym szpitalu dwa tygodnie. Wróciła do Polski. - Mam chwilę dla siebie – stwierdziła. - Ale tylko chwilę. Bo potem wracam do pracy.



Danuta Jazłowiecka była jedną z organizatorek łańcucha żółto-niebieskiego oraz obrony województwa opolskiego. O to, że Opolszczyzna pozostanie na mapie Polski założyła się z Janem Krzysztofem Bieleckim - politykiem, ekonomistą i byłym premierem. (Fot. Archiwum prywatne)

Jest pracowoliczką, ale szacunek do ciężkiej roboty wyniosła z domu. Niewiele brakowało, a przyszłaby na świat w plenerze, nad Odrą. Rodzice Krystyna i Józef Kubicowie poszli na niedzielny spacer po Opolu... - I właśnie wtedy mama poczuła, że ten chłopak – bo miałam być chłopakiem – pcha się na świat – mówi Danuta Jazłowiecka.

Fakt, że nie jest chłopczykiem był dla małej, a potem dorastającej Danusi powodem do wielu strapiień. - Wydawało mi się, że chłopcom w życiu jest lepiej. – wyjaśnia. – A dziewczynki tak mało mogą.

Tato Danusi był mężczyzną typu złota rączka – potrafił wszystko naprawić: ciekący kran, rozsypujące się krzesło, niegrzejące żelazko. A córeczka była najwierniejszym jego uczniem, czeladnikiem - podawała śrubokręty, przechowywała liczne druciki.

Byłam chłopczycą. U dziadków na wsi podkradałam porzeczki u sąsiadów, z chłopakami bawiłam się w wojnę w pobliskich ruinach zamku, niedaleko Białobrzegów na Żywiec-
czyźnie.



Pani europoseł podczas jednej z zagranicznych podróży - z miną nieparlamentarną. (Fot. Archiwum prywatne)

Nie umie przeklinać

Tato z wykształcenia był inżynierem budowlanym. Mama - księgową. Danusia była jedynaczką.

– I to jest jedyna rzecz, o którą mam żal do rodziców. Bo o to, że nie jestem chłopakiem już nie mam żalu od czasu, gdy w ulewny deszcz, jadąc samochodem, złapałam gumę. Na trasie zatrzymał się pewien dżentelmen i zmienił koło w moim samochodzie. On był przemoczony do ostatniej nitki. Ja nie. I wtedy zrozumiałam, że kobietom jest jednak lepiej w życiu niż mężczyznom – wyjaśnia.

Mama bardzo chciała, by Danusia została skrzypaczką. "Riaćki mnie boją!" – protestowała tymczasem dziewczynka po każdym zajęciach muzycznych. I postawiła na swoim – skrzypce zamieniła na fortepian, a z czasem nauka muzyki została zarzucona. W zamian przyszła europosłanka realizowała swoje zainteresowania ekwilibrystyczne: próbowała gimnastyki, akrobatyki, jazdy figurowej na lodzie, tańców. – Rodzice mnie nie ograniczali – mówi.

Oczywiście państwo Kubicowie mieli też swoje plany wobec córeczki. – Mamusia chciała, bym została lekarzem, i ja nawet odpowiednio dobrze się uczyłam przedmiotów kierunkowych. Tyle, że nie robiłam tego z pasją – mówi.

A Danusia wciąż realizowała swoje zainteresowania. – Ponieważ tato był budowlańcem, a ja byłam w niego zapatrzona - to bardzo chciałam pracować na budowie. Ostatecznie skończyłam studia budowlane, zostałam inżynierem budownictwa – mówi.

Ale na budowie okazało się...

- ... że nie umiem przeklinać i po męsku egzekwować robotę – przyznaje pani europoseł.



Danuta Jazłowiecka z córką Sonią i synkiem Tomkiem – takich wspólnych zdjęć w rodzinnym albumie jest najmniej. (Fot. Archiwum prywatne)

Armani z Opola

Studiując inżynierię, zrobiła też kurs kosmetyczny. Więc spróbowała swoich sił, pracując w gabinecie kosmetycznym, tam nie było potrzeby rzucać mięsem. – Same produkowałyśmy różne kremy – wspomina. – I nawet zdradzałyśmy swe receptury koleżankom. Mamusia była bardzo nieszczęśliwa, że inżynier wyciska węgry!

Potem pomyślała o założeniu własnej firmy odzieżowej - studia projektującego i szyjącego ciuchy. Pani inżynier budownictwa lądowego chciała być polskim Armanim. Miała już męża, urodziła syna Tomka, potem córeczkę – Sonię. Swoje studio mody także nazwała Sonia. Na szczęście!

- Co ciekawe, nie znosiłam szycia, choć nieźle to robiłam. Ale zawsze miałam wrażenie, że robię to za karę – mówi. - Jestem za to urodzoną organizatorką, uwielbiałam organizować pokazy mody. Studio Sonia dawało mi taką możliwość.

Bycie w small biznesie oznaczało jednak częste podróże, choćby do Berlina po niedostępne wówczas tkaniny. Z dwójką dzieci trudno było pogodzić obowiązki mamy, żony i właścicielki firmy. Na szczęście pomagali rodzice. – Mąż i oni przejęli trud wychowywania dzieciaków, dbali o ciepło w domu, ja sama planowałam otwarcie w Opolu pierwszego prywatnego domu towarowego – wspomina Danuta Jazłowiecka.

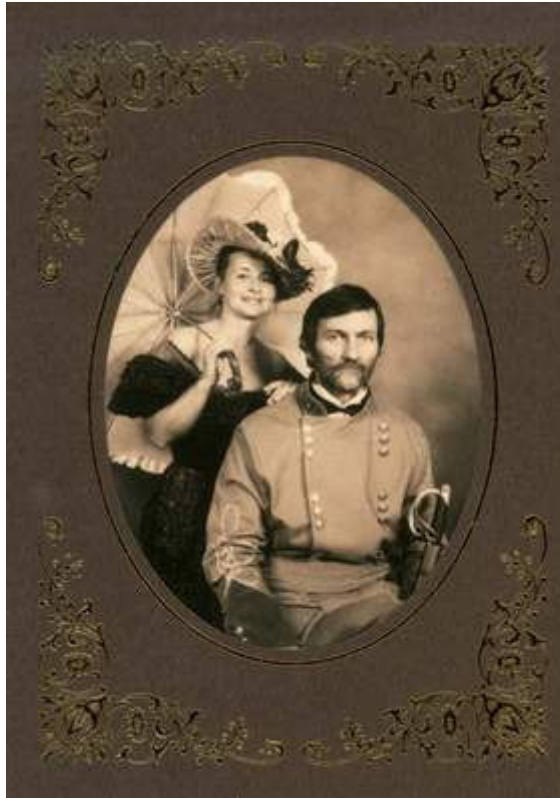
Miała na ten cel dostać od władz miasta – za przysłowiową złotówkę – jedną ze zrujnowanych kamienic przy ul. Szpitalnej. Formalności trwały dwa lata i gdy przyszło do ich realizacji – przysłowiowa złotówka zamieniła się w ogromny worek pieniędzy: - To, co miałam odłożone na remont kamienicy, wydałam na jej kupno. Na remont – a miałam go wykonać w ciągu 12 miesięcy - musiałam zaciągnąć kredyt.

Kredyt był na 36 proc. Po 3 miesiącach – w wyniku inflacji – oprocentowanie sięgnęło 80 proc. Danuta zaczęła szukać kogoś, komu mogłaby sprzedać budynek. I tak trafiła do Biznes Centre Club z nadzieją, że klub wskaże jej potencjalnego inwestora.

- A tam zaczęto mnie pytać o poglądy gospodarcze i polityczne – mówi. - Niewiele im powiedziałam.

Prezes Goliszewski wytypował ją do tworzenia struktur BCC na Opolszczyźnie. Taki zbieg okoliczności. Danuta Jazłowiecka potem nie raz przekonała się, że życiem rządzą przypadki, trzeba tylko umieć wykorzystać szansę, jaką dają.

Kamienicę sprzedała za równowartość kredytu, jaki miała do spłacenia. Budynek do dnia dzisiejszego jest niewyremontowany.



Pamiątka ze Stanów Zjednoczonych. (Fot. Archiwum prywatne)

W Stanach były też łzy

Niepowodzenia w realizacji planów otwarcia domu towarowego, nie zraziły Danuty Jazłowieckiej. Wciąż była pełna energii do działania. Działała w BCC. Stworzyła polsko-amerykański klub przedsiębiorczości. Na spotkania organizacyjne przychodziły setki małych i średnich przedsiębiorców.

- To było to! Wiedziałam, że robię coś, na co jest zapotrzebowanie – wspomina. Niestety w domu bywałam znów rzadko, byłam sobotnią mamą – wspomina. – Podczas śniadania w sobotę każde z nas opowiadało, co wydarzyło się w jego życiu przez tydzień. Potem mąż pojechał do Stanów, jak wielu Polaków – zarabiać na lepsze życie.

W 1994 roku dzieci Danuty są już duże, wymagają coraz więcej starań. Tomek ma 11 lat, Sonia 8. Danuta zaś dostaje się na studia do Stanów Zjednoczonych. To znów był przypadek. Wniosek wypełniła w ostatniej chwili. W ciągu dwóch dni znalazła osoby, które ją rekomendowały. Inni na te formalności poświęcali miesiąc. Nie znając języka – do komisji rekrutacyjnej powiedziała: Mówcie do mnie po polsku.

- Nie ma pani szans – ocenił jeden z członków komisji.

- Byłam kompletnie zdumiona, że się zakwalifikowałam na studia. Ale żeby tam pojechać, musiałam przejść przez półroczny, trwający w Cieszynie, kurs języka angielskiego – mówi. - Znów myślałam – tym razem to odpadnę na kursie. Nie zdam końcowych egzaminów i wrócę do domu. Tymczasem - zdała.

Z dziećmi został mąż Roman – który właśnie wrócił ze Stanów Zjednoczonych.

- Ja i mąż zaczęliśmy się mijać – przyznaje Danuta Jazłowiecka. – Jak wielu partnerów, którzy mają swoje plany, chcą je realizować, a nie poświęcać się dla drugiej połowy. Rozumieliśmy, że każde z nas ma swoje plany i akceptowaliśmy ten stan rzeczy.

To był czas wielkich szans dla Polaków, należało je łapać i wykorzystywać, z nadzieją, że – mimo wszystko - uda się ochronić rodzinę, a małżeństwo wytrzyma próbę rozłąki.

Rok później, gdy ona była za oceanem, a mąż z dziećmi w kraju – zdecydowali podczas rozmowy telefonicznej o rozstaniu. - Doszło do niego z mojej winy. – mówi Danuta Jazłowiecka. – Nie chciałam oszukiwać, zdecydowałam się na szczerość.

Gdy wyjeżdżała do USA, wysłuchała przemówienia Billa Clintona. Była zachwycona – bo wszystko rozumiała. Dopiero potem dowiedziała się, że mowy amerykańskich prezydentów pisane są prostym językiem, tak, aby mniejszości i emigranci zrozumieli. Tak naprawdę nie znała biegle angielskiego, mimo że zdała egzaminy po półrocznym intensywnym kursie językowym. Na pierwszych zajęciach na University of Wisconsin z wykładu z makroekonomii nie rozumiała nic. Gdy pisała test z ekonomii, ze specjalistycznymi pytaniami i równie specjalistycznymi odpowiedziami typu zła, dobra, najlepsza – zgadywała. A że w totka nigdy nie miała szczęścia – dostała złą ocenę.

- Groziło mi, że wrócę do Polski, a to oznaczało, że będę musiała zwrócić 50 tysięcy dolarów – bo taki był koszt owego dwuletniego szkolenia w USA.

Nieraz wówczas płakała. Ale zawzięła się, wyszlifowała język, poprawiła oceny, utrzymała stypendium. Pod dwóch latach przyjechała do Polski z dobrą znajomością angielskiego, najlepszymi ocenami i z dyplomem Bachelor of Business Administration.

Dzieci kupowały lodówkę

- Po powrocie musiałam stworzyć ciepło rodzinne od podstaw, odbudować zaufanie dzieci do mnie. Po rozstaniu Romek mi pomagał, brał dzieci na wakacje. Ale na co dzień to ja musiałam im zapewnić poczucie bezpieczeństwa – mówi. – Pomogły szczere rozmowy, umiejętność przyznania się do błędu. Nawet, jeśli w domu jest się przez chwilę, przez godzinę czy dwie – wtedy trzeba być w stu procentach dla dzieci.

Kilkuletnie dzieci nauczyły się samodzielności. Gdy trzeba było kupić pralkę, lodówkę czy inny sprzęt – to one wybierały. Danuta zamawiała wskazany produkt do domu. Tomek stał się głową domu i opiekunem dwóch swoich kobiet: mamy i siostry.

- Sonia też wyrosła na mądrą dziewczynę. Jest solidna i stała w swych pasjach i zainteresowaniach. Pokochała jazdę konną i do dziś ją kocha. Mnie też zaraziła miłością do jeździectwa. Później zafascynowała ją jazda na motorze i stale ćwiczy, udoskonala styl jazdy.

Nic nie robi na hura, stara się nie improwizować – mówi dumna mama.

Sonia studiuje zootechnikę, Tomek – architekturę (choć zapowiedział, że to nie będzie jego zawód).

- Ze mną podczas studiów było podobnie – uśmiecha się Danuta Jazłowiecka.

Idealna pielęgniarka

Pytana, kiedy tak naprawdę zaczęła zajmować się polityką – nie umie jednoznacznie odpowiedzieć. Czy wtedy, gdy w 1999 została dyrektorem wydziału rozwoju regionalnego Urzędu Wojewódzkiego w Opolu, czy gdy pełniła funkcję dyrektora departamentu integracji europejskiej Urzędu Marszałkowskiego. A może wtedy, gdy organizowała w obronie województwa opolskiego manifestacje, wyjazdy Polan do Warszawy, czy łańcuch żółto-niebieski z ludźmi, którzy, trzymając się za ręce, spięli województwo w obronnym geście.

– To zawsze była dla mnie praca lub obowiązek wynikający z tego, że jestem Opolanką – mówi. - Wiedziała, że Unia Europejska oraz rozwój samorządów, małych ojczyzn to jest przyszłość. Nie pchałam się do wielkiej polityki. Ale kiedyś Ryszard Zembaczyński zwrócił uwagę, że wśród działaczy politycznych bywają i tacy, którzy wcale nie garną się do ciężkiej pracy. Odpowiedziałam, że mi praca nie jest straszna. Tego argumentu użyto, aby przekonać ją, że ma startować w wyborach do europarlamentu i parlamentu polskiego.

- Nie ukrywam, wolę pracę w europarlamencie. Jest bardziej twórcza. - Pracuję w komisjach zajmujących się gospodarką, sprawami społecznymi oraz zatrudnieniem, a więc zajmuję się tym, co ma pomóc wyjść Europie z kryzysu oraz uchronić przed nowym – mówi europoseł.

Jej życie pełne jest podróży i oficjalnych spotkań na wysokich szczeblach. Musiała przejść przez szkolenie z protokołu dyplomatycznego i zasad savoir-vivre'u, które obejmowało nawet sztukę jedzenia ostryg, raków i małż.

- Ale przyznam się, że zdarzyło mi się na pewnym bankiecie "wystrzelić" śliskim ślimakiem w przestrzeń. Danie padło na talerzyk jednego z dystygowanych gości. Ten rozejrzał się i... szybko zjadł ślimaka. Nie krzyczałam, że to mój – śmieje się.

Nie tak dawno, będąc na delegacji w Szanghaju – dostała ataku serca. Zabieg i pobyt w tamtejszym szpitalu wspomina dziś z uśmiechem. Puszczą oko i opowiada kolejną anegdotę:

- Leżałam na dużej sali, z wieloma innymi chorymi. Opiekowała się nami pewna chińska pielęgniarka, bardzo usłużna, grzeczna, odgadywała moje myśli. Byłam nią zachwycona, pomyślałam nawet, że warto by było mieć kogoś tak zorganizowanego i profesjonalnego do prowadzenia biura. Potem ktoś wyjaśnił mi, że to "partyjna agentka", której zadaniem była obserwacja, czy mój pobyt w szpitalu przebiega prawidłowo i czy nie prowadzę działalności wrogiej chińskim władzom.

Właśnie skończyła wakacje i rekonwalescencję. Pracuje w parlamencie w Brukseli. Do Opola stara się jednak przyjeżdżać co tydzień, dwa.

- Bo tu spotykam się z przyjaciółmi, dziećmi, ukochanymi stronami – mówi.

A ile razy przechodzi ulicą Szpitalną i widzi wciąż niewyremontowaną kamienicę, zastanawia

się nad tym, jak wyglądałoby jej życie, gdyby w miejscu tym postawiła ekskluzywny dom handlowy...